ABC literacko-artystyczne

Stały dodatek tygodniowy pod redakcją Stanisława Piaseckiego

Rok III. | Niedziela 8 lipca 1934 r. | Nr. 28

Melchjor Wańkowicz

Nowotrzeby

W niedługim czasie ukaże się nakładem „Roju"" książka Melchjora Wańkowicza „Szczenięce lata". Poniżej podajemy z niej wyjątek. (Red.)

Po śmierci rodziców „opieka", złożona z dwóch poważnych sąsiadów, wysłała mię, jako dwuletniego dzieciaka, z ojcowskich Kalużyc w powiecie ihumeńskim ziemi mińskiej — do majątku babki w Kowieńszczyźnie, „bo to, panie, odpowiedzialność chować chłopca przez guwernerów, a do tego jeszcze „Melchjorowicza".

Trzeba wiedzieć, że Wańkowiczów było jak „rojstu" *) w Mińszczyźnie i wygodniej było przezywać ich od majątku, albo, jeżeli imię ojca było rzadkie, z ojca.

Poważne sąsiady na nas, Wańkowiczów kalużańskich, miały poglądy wyrobione i niezłomne. Mój najstarszy brat, Czesław, ugarnirował sernikami, na „stajni" u solidnego profesora, sufit i huknął ze strychu domu „kłasnego nastawnika" jakąś drewnianą figurą. Pedagog tyle że się strachu najadł, ale biednego Czesia musiano przenieść do Wilna. Co w Wilnie zrobił — niewiadomo, ale według wersji starszego rodzeństwa ojciec miał z nim w gabinecie długą rozmowę, potem zaprowadził go do alei pod figurę, gdzie stała ławka, na której tradycyjnie pokolenia brały basy — poczem Czesia zesłano do Chyrowa.

Jużcić Chyrów musiał zdać się „opiece" końcem świata, — były to zagorzałe domatory.

Pewnego razu ojcu udało się wypchnąć czterech sąsiadów na Wystawę Paryską, sam zaś pojechał w tydzień po nich. Zastał ich w Paryżu w hotelu... rżnących w winta. Natychmiast po przyjeździe ze swego ihumeńskiego powiatu rozstawili stolik i nie zdążyli być ani razu na wystawie.

Majątek babki, macierzyste Nowotrzeby, był ongiś od książąt Giedroyciów kupiony, a położony w przepięknej dolinie Niewiaży o szesnaście wiorst od Kowna, wydzierżawiany był od czterech pokoleń w rządach matrjarchatu, tak się bowiem składało, że przechodził w linji kobiecej z matki na córkę, z babki na wnuczkę. A że dziedziczki żyły krzepko i długo, rękę zaś miały twardą i zwyczaje starodawne, zachował się w Nowotrzebach obyczaj, żywcem przeniesiony z początków XVIII stulecia.

Nawprost ganku, nie takiego tam „polskiego" ganku, jak bywają we dworkach na mazowieckich piaseczkach — z filarkami, ale tęgiego, szklonego weneckiemi oknami, gdzie pod sufitem lepiły się jaskółcze gniazda, pod ławkami legiwały kundle, a po stołach, jak dzień długi, suszyły się wiecznie jakieś rumianki, jakieś żywokosty i inne gospodarskie ingredjencje — nawprost ganku tego była sień ogromna, ciemnawa, chłodna zawsze.

Nie dałoby się, mimo wszelkich chęci, „hallem" jej nazwać, jak w ojcowskich Kalużycach. Sień to była prawa, obstawiona olbrzymiemi przepastnemi szafami. Jako mały chłopak, urządzając pośród zwałów dziedzicznych tumaków i popielic wigwam w przepaściach szafy, rozmyślałem, że zapewne najprzód ustawiono szafę, a potem wkoło niej „obudowano" dom.

Dom bowiem sam był niski. Belki podpierały sufity, do których można było ręką sięgnąć. Futryny drzwi, na których wisiały przybite blachy towarzystwa asekuracyjnego, były tak niskie, że wysocy goście rżnęli o nie głowami nieomylnie, ku naszej nieopisanej radości.

Z sieni owej na lewo szło się do dużego stołowego pokoju, gdzie długi, jak plant kolejowy, stół, kryty ceratą, biegł aż pod przeciwległą ścianę. Na ścianie tej od góry do dołu wisiały święte obrazy a pomiędzy niemi ogromny krzyż z relikwjami świętych: stołowy bowiem pokój w dni adwentu, wielkiego postu i innych uroczystości był miejscem codziennych modłów.

Przy ścianie podłużnej był znowu ustawiony sprzęt-olbrzym — szafa z trzech przęseł, o trzech drzwiach, jak wierzeje stodoły.

Pochodzenie tej szafy było następujące: Prababka — z Pohoskich (ze skonfiskowanego Szopowa) Baczyżmalska — tak kochała swe córki, że nie chcąc się z niemi rozstawać i w nocy, kazała zrobić szafę z trzema przęsłami, drzwi miały u dołu zawiasy i na noc opuszczały się wraz z pościelą. W tej szafie nieraz struchlałe panny się chowały, gdy słynny pasjonat, wiodący się z Tatarów, pułkownik Baczyżmalski, wracał zezłoszczony do domu. Dom wtedy pustoszał i jedynie żona odważała się wychodzić go spotykać, czasem nawet z obrazem świętym w ręku.

Za pierwszemi drzwiami tej szafy chowano herbatę, cukier, różne tam żelatyny i cynamony. Była to domena rezydentki — panny Agaty, której jedyną ważną czynnością było zaparzanie herbaty i rąbanie cukru z głowy. Za drugie drzwi — „odstawiano z obiadu". Tam to się biegło koło piątej z otrzymanym od babki, wyślizganym przez lata, kluczykiem.

Klucz otrzymywało się niezmiennie z dwoma napomnieniami: „Kręcąc, ciągnij do siebie" i „Nie łasuj zanadto".

Trzecia część szafy, to były wódki i wina. W onym wieku interesowały mnie mało, o tyle chyba, że się wykradało stamtąd biszkopty i czasem udało się ratlerkowi babki wlać w gardło kieliszek wódki. Piesek jechał wówczas nosem przez wszystkie pokoje i merdał ogonkiem, co babkę napawało niezmierną rozterką: „Wściekł się, czy nie?".

Z jadalnego szło się do kredensu, gdzie rezydował lokaj i jadała służba. Jadali „abraduki" — kluski z grubej mąki w słoninie, „skrydle" — z takiejże mąki placki, ociekające tłuszczem i twarde, jak skóra, „szpekuchy" — pierogi, których cienką powłokę rozdymała masa gorącej słoniny, „szwilpiki" — placki, pieczone w piecu z gotowanych kartofli, „kekory" — takież placki, nadziewane różnem nadzieniem z mięsa, warzyw i sera — wszystko to pływające w roztopionej słoninie, lub zalane sosem, zwanym „mizgutia" (słonina z podśmietaniem"); wreszcie nie wiem czemu z polska zwany „maćkiem", ale piekielnie litewski wymysł — łój barani, zakrzepły między dwiema warstwami ciasta.

Specjalnem świętem było „skierstuwie" — bicie wieprzy, kiedy cały dom objadał się „wiadorami" (kiszki nadziane tartemi surowemi kartoflami) i „szupienią" (kasza z pęczaku, gotowana na ogonach wieprzowych).

Na zimę przygotowywano dla czeladzi tak zwany „kindziuk" czyli „skiłądź" (ten ostatni termin ma być polski) — brzuch wieprzowy, tęgo nabity obrzynkami mięsa, zaprawiony saletrą i korzeniami, i wędzony.

Te przysmaki, pojawiające się na „drugim stole", były nieodwołalnie przynoszone na pierwszy stół jako przystawka, znajdująca entuzjastów.

Ów pierwszy stół był tłusty, obfity, ciężki, ale poza kołdunami, ogórkami z miodem, kisielem i paru innemi podobnemi rarytasami, mający powszechnie na świecie używane potrawy. Tylko nazywały się one specyficznie i dopiero wyruszywszy w świat, z mozołem musiałem się uczyć, że np. „Pani Nowakowska" nazywa się szarlotka, że „Panną Reginą" nigdzie nie nazywają smakowitej zresztą leguminy z kremu, kryjącego czekoladę przetartą z chlebem razowym, itd.

Do źródłosłowu „Pani Nowakowskiej" dobrnąłem; okazało się, że „za nieboszczki pani Szemiotowej" (siostry prababki, jednej z tych, co to sypiały w szafie) koczem „w gości" przyjeżdżała taka pani z Warszawy i nauczyła robić szarlotkę.

Ze stołowego i kredensu szło się dalej — do części służbowej domu. Była to jego część przybudowana w klitki i w składziki, w spiżarenki, komórki, kładówki obfita, dostępna „ludziom", półdzikim kotom, żyjącym na strychu, w których płonące w ciemni oczy waliło się z rewolweru, pacom — ogromnym szczurom litewskim, na które stawiało się przemyślne „pastki".

W „dziewcząt pokoiku" od pułapu zwisały pęki brzozowych mioteł, na które ku wieczorowi siadały senne muchy, zgarniane zdradziecko w worki. Okna tu już wychodziły na „trzaśnisko" (drwalnię) z jednej strony, na splątany zielony sad z drugiej. Fioletowe od słodkiego ciężaru, napierały gałęzie śliw na gorejące w słońcu okna. Tutaj przed wieczorną chwilą rozgwarzały się kiechdy o „ragana" — czarownicy i o zaklętej pannie, której pałac, zapadły w ziemię („piłkalnie" — grodzisko), znaczył odległy o dwie wiorsty kurhan, o czarodziejskim „żmogusie", tu dzwoniły smętne

Siejau ruta, siejau mieta, siejau lilijeja

albo skoczne:

> Jurgis, Jurgis imk mania
> Tu ne gaus: geresnia
> (Jurgis, Jurgis, weź mnie
> Ty nie znajdziesz lepszej).

albo polskie, np.:

Ulica Kościelna, a dom numer trzeci,
Zabił pan Wiszniewski żonę, troje [dzieci.
Nad panią Wiszniewską wszystkie [dzwony biją,
Nad panem Wiszniewskim stare wilcy [wyją.

albo wesołe:

Ty pan Jan, ty pan Jan, a ja panna [Anna,
Ty bogaty kuwalerze, a ja biedna [panna,
Ty myszlalasz, panie Janie, co ja [cień kokala,
A ja ciebie, panie Janie, za durnego [miała.

Tu też odbywały się dyskusje. Pamiętam spór o znaczeniu szlachectwa. Negował je syn ogrodnika przy wyraźnej aprobacie większości. Zaperzona stara Jankowska, szlachcianka, użyła nieodpartego argumentu: „Wszak Matka Boska była szlachcianką".

— Jakto?

— A czyż nie mówi się w litanji: „Panno Szlachetna"?

Opozycja umilkła.

Aż wreszcie tę część domu kończył pokój panny Agaty, „składzikiem" zwany, gdzie pośród olbrzymich wyprawnych, żelazem kutych kufrów, rezydowała sztywna i kostyczna stara panna, przepędzająca nas, niby stado wróbli, skręconą w pytę ścierką.

*) Leśne bagniska, trawą porosłe.

Aleksander Sendlikowski

Odnajdywanie „utraconej" ojczyzny

Jest to wprost krańcowa ignorancja. Tak zwany „człowiek inteligenty", który jaki taki wyrobił sobie sąd o otaczającym go świecie, i wie conieco więcej ponad to, że współczesne Niemcy — są brunatne, a np. Francja, to kraj spokojnych pacyfistów i ostrożnych rentjerów, ten sam człowiek rozkłada bezradnie ręce, gdy mówi się coś o nowej Rosji, Sowieckiej. Jest w tem nietylko ignorancja, ale i tępota, brak odwagi do rozważenia rzeczy nowych.

— No cóż Rosja, bolszewicy, komuna...

Tylko tyle.

Tylko tyle wie przeciętny obywatel o kraju, który z Polską graniczy na przestrzeni 1412 klm., a siłą swej masy ciążyć musi gospodarczo, politycznie i kulturalnie na naszem życiu, na układzie sil i stosunków.

Cóż wymagać od robotnika, czy bezrobotnego, który poddaje się wpływom komunizmu? Czem jest nasza kontrpropaganda? Samą tylko negacją. Czy nie byłoby możliwem agitować przeciwstawiając utopjom „sowieckiego raju" — rzeczywistość. Ale nie tę, którą się wybiera do broszur propagandowych. To, co się dzieje obecnie w Rosji, co dzieje się już od 3 — 4 lat, wskazuje wyraźnie na zupełną niemożliwość zorganizowania życia według recepty komunistycznej. Komunizm był tylko pługiem, przeorał zeschłą skorupę, przerzucił nawarstwienie, umożliwił skok naprzód. Czy sama orka wysarcza, aby wyjść w pole po zbiory? Nie! A więc trzeba było zasiewu, mozolnej uprawy. Czy dał to komunizm? Także trzeba zaprzeczyć. Ani „piatiletki", ani nawet sama organizacja życia politycznego (dyktatura Stalina, a nie proletarjatu). Eksperyment komunistyczny tam, gdzie próbowano go stosować, okazał się niemożliwy. Chociażby akcja bezbożnicza, chociażby stosunki rodzinne, całkowite skasowanie indywidualnego życia, jakiejkolwiek własności.

Czy więc komunizm jest materjałem na eksport, czy może nam zagrażać? Nie. W Polsce, ani w krajach Europy niema, jak to było w Rosji przedwojennej, zakrzepłej skorupy stosunków, którąby trzeba ostrym, głębokotnącym pługiem przeorać. Dlatego komunizm nie przyjął się u nas i nie przyjmie. Państwo, naród zorganizowany, ma dostateczne środki stłumienia ruchu, który nie wynika z jego wewnętrznych konieczności. Państwo powinno tu używać ostrych, bezwzględnych środków.

Musimy i możemy natomiast mieć otwarte oczy i na to, co się dokonywa poza naszą wschodnią ścianą. Nie potrzebując orki komunizmu, możemy skorzystać z wielu doświadczeń siejby i zbioru, odrzucając część negatywną, trzeba patrzeć na zdobycze pozytywne. Musimy przedewszystkiem zwrócić uwagę na tempo pracy. Czy nam nie imponuje? Czy nas nie powinno uczyć? Czy wobec kolosalnego napięcia woli dokonania, przełamania oporów w Rosji dzisiejszej — nie wydaje nam się czasami, że zanadto zwolniliśmy własne tempo — że zadawalamy się minimum, mogąc i mając warunki do osiągnięcia maximum?

Dnieprostrój — najnowocześniejsze turbiny w Europie, traktory z Charkowa i Czelabińska, automobile z Gorkij — przewyższające o wiele nasze zdobycze. A wszystko to: traktory i automobile, produkcja jednolita, seryjna, nie na pokaz, na wystawę.

Przy tej oszałamiającej przebudowie szóstej części świata, z konglomeratu ludów i szczepów, w ciężkiej wspólnej walce i gromadnej pracy powstaje, tworzy się zbliżony, choć niejednolity etnicznie naród, który w „Izwiestjach" Radek nazwał „narodem sowieckim". Międzynarodówka idzie widocznie, razem z marzeniami o uniwersaliźmie komunizmu na emeryturę, a może na wygnanie.

Kto czytał opisy przyjęcia przez ludność rosyjską bohaterskiej załogi „Czeluskina", kto zainteresował się ostatniemi ustawami sowieckiemi o „Obronie Ojczyzny", widzi, że Rosja Sowiecka staje coraz bardzie siłą biegu wypadków, siłą dokonywujących się przeobrażeń, na granicy, gdzie zaczyna się nacjonalizm.

Ekspansja komunizmu musi począć opadać. Była ona tym odruchem samoobrony, która kazała kiedyś ruchowi Wielkiej Rewolucji Francuskiej rozpocząć erę podbojów, epokę przelewania krwi na polach Europy. Była ona podobną akcji faszyzmu i hitleryzmu, które podobnie, jak rosyjski bolszewizm, są niemożliwe do przeszczepienia ich w formie macierzystej do innych krajów, choć niewątpliwie wszystkie te ruchy w mniejszym lub większym stopniu muszą zaważyć na rozwoju myśli i polityki narodów współczesnych.

Wyszła ostatnio z druku, dwutomowa książka Bruno Jasieńskiego p. t. „Człowiek zmienia skórę". *). Książka pisana po rosyjsku wyszła w polskim przekładzie. Nie była przeznaczona wyłącznie na eksport, raczej dla Rosji. Ma więc większą wartość, bo pisząc po rosyjsku dla Rosjan można dać dużo propagandy, ale nie dużo kłamstwa. To też książka robi wrażenie szczerej i bezpośredniej. Ukończona latem 1933 roku interesuje bardziej, jako dokument przesunięć i przemian, jakie się dokonywują w Rosji, mniej, jako praca literacka. Obciążają ją niemożliwe dłużyzny opisów, pewne niekonsekwencje w konstrukcji, zresztą interesującej.

Książka jest właściwie opisem jednej z „robót szturmowych" nawadniania olbrzymiego kraju nad granicą afgańską. Opis jest pierwszorzędny. Umiejętnie uwydatniony został nastrój, który umożliwia narzucenie gromadom ludzkim pracy niesłychanie ciężkiej, w najpodlejszych warunkach.

Nie jest to praca przy muzyce, praca bez kłopotów, ale prawdziwa robota szturmowa, w upale i kurzu, bez narzędzi, pośród ciągłych zawodów, niedokładności administracji, czasem buntów, napadów, lub wręcz sabotażów. Opis jest twardy, surowy, bez przejaskrawień, bez tkliwości. Na tle tej walki niektóre postaci ludzkie naprawdę olbrzymieją, naprawdę nabierają cech bohaterskich. Wzruszającym jest prosty opis śmierci robotników, którzy bronią otwarcia tamy, mając zniszczyć cały plon wielomiesięcznej pracy.

Tłem akcji jest sabotaż, którym kieruje zręcznie inż. Murri i płk. Baily, w jednej osobie. Ma to być wysłannik angielskiej Intelligence Service. Przybył z kilkoma inżynierami amerykańskimi na robotę i rozpoczął swe prace.

Główny bohater akcji, inż. Clarke, przez pracę nabiera szacunku dla Rosji, i jego niejako oczyma oglądamy to, co się wokoło dzieje.

„Robota szturmowa" i sabotaż — to właściwe linje akcji, pospolitej zresztą w sowieckiej beletrystyce, reszta to uzupełnienie. Szereg drobnych epizodów, dobrze zarysowanych, trafnych, udanych.

Ciekawa jest ogólna koncepcja powieści, jej sens. Przez pracę najbardziej wytężoną mamy poznać człowieka, odkryć jego siłę i charakter. W pracy człowiek nie może czuć się automatem, mechanizmem, częścią maszyny. Musi ją wykonywać sprawnie i świadomie, ale nie mechanicznie. Na każdem polu musi umieć pracować, mieć siłę zaczynania od początku, gdy tego potrzeba dla dobra ogółu.

O ile zarysowane tutaj stosunki pracy mogą budzić sympatję dla tej zaciekłości i zawziętości wykonywania pracy, o tyle budzą wielokroć wstręt, choć tylko zlekka zarysowane, stosunki z zakresu życia rodzinnego.

Kobietę sowiecką uczyniono wolną. Małżeństwo pojęto jako zgodę, umowę dobrowolną. Wprowadzono rozwody na życzenie każdej ze stron. Wszystko to w imię uczciwości, w imię wolnego doboru i zniesienia znienawidzonego przymusu w życiu seksualnem. I co się okazuje? Uświadomione członkinie partji stają się zwykłemi, ordynarnemi rozpustnicami, gotowemi służyć swoim ciałem dziś temu, jutro innemu mężczyźnie, który działa na ich zmysły. Poto, zdaniem ich, dokonała się rewolucja?

„Koniec końców rewolucja — to nie jest wielki post i komunizm — to nie klasztorne wyrzeczenie się doczesnych wygód. Przeciwnie, to — walka o to, żeby nie kupie uprzywilejowanych, a wszyststkim dawało życie więcej radości i rozkoszy. Pokolenie nasze oddało tej walce najlepsze swe lata: pięć lat cierpień i wyrzeczenia się wszystkiego. Pięć lat, na procenty od których żyć będą przyszłe pokolenia" (str. 102, tom drugi).

Oto słowa jednej z kobiet. Więcej radości życia i rozkoszy. Rozkoszą nurzania się w bagnie. Nic dziwnego, że kończy się to nienawiścią do życia i samobójstwem, plagą dzisiejszej Rosji, co wskazuje, jak wiele jeszcze jest tam złego.

Nowe warunki odmieniają ludzi, można zdobyć się na większy lub mniejszy wysiłek, przystosować się, zmienić skórę — ale nie może człowiek zmienić swojej duszy. Tu opór iest nic do przełamania.

*) BRUNO JASIEŃSKI: „Człowiek zmienia skórę". Nakładem „Mety". Tom I, str. 360, tom II, str. 343.

Janusz Kawecki

Z cyklu: Lutnia ziemiańska

Deszcz przelotny

Wiatr skoczył w sad i upadł w agresty przy płocie,
zerwał się, trzasnął w śliwy i poleciał dalej.
— Cicho, cicho, ci... W chmurach burkło, jak w żywocie!
Błysnęło. Grzmi! Duch wszelki Pana Boga chwali!

Deszcz siepnął się po strzesze, na ziem chlusnął strugą,
plusnął falą do proga, w szyby się rozbrzęczał.
— Zerknij, córuchna, czy się zaniosło na długo?
Mija? Przeszedł i przestał. Znowu słońce? Tęcza!

Gdzie kostur? Pójdziem sobie, córuś, do ogroda.
Jak rzeźwo, jaki zapach! Nieba nic nie plami!
Brzoza, dopiero płaczka, teraz panna młoda:
trzęsie kosy i cała śmieje się blaskami!

L. Całkosińska

Pokolenie Kelemenów

Przygoda napozór jakich wiele*). Gromadka kolegów z ławy szkolnej (lat 32—4) spotyka się raz na miesiąc w kawiarni. Łączą ich dawne sympatje i upodobania, lecz przedewszystkiem wspomnienia szkolnych „kawałów". O sobie, o życiu prywatnem wiedzą niewiele, i wiedzieć nie chcą, uciekają od zawodów i zmartwień do dobrych dawnych czasów i tyle im wiadomo, że „chłopcy" spotykają się po to, by pogawędzić o przeszłości i pośmiać się.

Ale oto jeden z nich, Andor Kelemen, przynosi kartkę, wydartą z kolonjalnego miesięcznika angielskiego. Fotografja i notatka: „Mr. A. M. Cador, znany architekt, Węgier z pochodzenia, wita władze na inauguracji nowego osiedla, złożonego z 800 will.." I patrzcie no tylko, ten miljoner Cador to nikt inny, jak Antek Kador, kolega z gimnazjum.

„Od maja 1928 r. mógł dawno splajtować...

— Ach, ty gluptasie, — powiedział Marton, — czy myślisz, że wszędzie jest tak, jak u nas? Na tamtej stronie kuli ziemskiej, niema tak suchotniczych egzystencyj, które lada powiew może zdmuchnąć...

— A co to właściwie znaczy egzystencja? — Dorzucił Rona, który objął po ojcu, w centrum miasta, pierwszorzędny magazyn porcelany. — Co ty rozumiesz przez egzystencję? Sądzisz z tej reklamy? Czy wiesz, że taka egzystencja to może jest zero, bo cóż to może znaczyć taki przedsiębiorca wobec.. no, naprzykład.. właściciela plantacji ryżu...

— W Port Elizabeth — przerwał mu ostro Krah — niema plantacyj ryżu!

— Są — upierał się Rona — a jeśli nie ryżu, to bawełny i kawy...

— Ale ja nie rozumiem, czego ty właściwie chcesz — denerwował się Kelemen. Czuł się już dotknięty w imieniu Kadora. — Kawa, czy bawełna, ale chyba nie wątpisz, że on ma duży majątek?

— Duży majątek? To właśnie kwestja, co ty nazywasz dużym majątkiem? To jest względne...

— Względne? Głupstwo — woła ktoś. — Jeśli zważymy, że jedna taka willa kosztuje dziesięć tysięcy pengö, to mamy już osiem miljonów... Jeśli naturalnie te wille rzeczywiście do niego należą...

— Co? Dziesięć tysięcy pengö? Już ja Ci je kupię po piętnaście! — Wołał inny.

— A jego podatki, moi drodzy: — zauważył elegancki Amman, uderzając pięścią w stół"...

W atmosferze zazdrości i podziwu piszą koledzy zbiorowy list do Kadora. W odpowiedzi przychodzi wiadomość: Na wiosnę Kador przybędzie z żoną do Budapesztu; chce odwiedzić miasto swej młodości. Wiadomość pada, jak kamień w wodę, zatacza coraz większe kręgi i drąży podniecone umysły.

A jeśli to będzie okazja, ta jedyna okazja dla wybicia się? Jeśli Kador dopomoże im wyjść z szarzyzny życia? Chłopcy „stawiają" w myśli na Kadora, a najrozpaczliwiej, najmocniej chwyta się nadziei Andor Kelemen. To on „o d k r y ł" Kadora, jemu należy się pierwszeństwo i jedyne prawo eksploatacji. On dopisał się potajemnie do zbiorowego listu, oplątał swemi marzeniami nieobecnego. wysyłał nakazy woli, sugestjonował, aż tam, w Port Elizabeth — przygotował duchowo ten przyjazd i snuje sieci, w które nieświadoma ofiara wpadnie. Niechno tylko przybędzie, a zobaczy, co się da uczynić. Dużo sprytu, trochę szczęścia... a wybije się — Kador też musiał mieć szczęście.

A Antoni Kador rzeczywiście miał szczęście: na froncie, że nie zginął i wrócił z wojny jako p.porucznik („robotę swą dobrze umiał wykonać"), okryty odznaczeniami i ranami; na granicy rumuńskiej, że go nie rozstrzelano; w Budapeszcie, że oskarżonego niesłusznie o komuinzm tylko pobito i wyrzucono z Politechniki. W Wiedniu studjował, poznał przyjaźń, miłość i... „małżeństwo koleżeńskie". W Londynie przymierał głodem, a za dach nad głową i łyżkę strawy służył w węgierskim szynku. A chce żyć! — chce budować, — chce tworzyć... Czasem rozpaczał, czasem dziwił się swej wytrzymałości.

„Ziarno jego życia cicho się miele między olbrzymiemi kamieniami młyńskiemi. Czasem jednak kamienie natrafiają na jakiś opór i zgrzytają; gdzieś na samym dnie tkwi jakieś źdźbło stali, maleńkiej, lecz nie pozwalające się zemleć... Wiem, że się stąd wydostanę...".

I wydostaje się. Jego bezkompromisowość, „zdolność odrzucenia jałmużny, granicząca z bohaterstwem, „wszystko lub nic" w stosunku do życia, przynoszą Kadorowi szczęście. Życie uśmiechnęło się, dając wszystko: i szczęście: w postaci kochającej (po tylu innych)) mądrej kobiety - żony; powodzenie i fortunę jako widomy znak zwycięstwa tego, który pracy nie lękał się, pragnął i szukał...

Tak, bezsprzecznie Kador miał szczęście.

A teraz przyjechał do Budapesztu. Jest wiosna i słowiki, muzyka cygańska i sam Budapeszt „trochę jak dekoracja". Ale przedewszystkiem — jest dwudziestoletnia Jola — przygoda. I choć to tylko traf — to, że Jola Kelemen podoba się Antoniemu, Andor widzi w tem zrządzenie losu. Już wie, w jaki sposób wygra swój wielki los. Już wie, że może żądać wszystkiego: — stanowiska, bogactwa, zaszczytów. Owoce pracy Kadora dostaną się w udziale Kelemenom. I rodzeństwo rozgrywa swą wielką życiową grę; ostrożnie i przezornie.

I właśnie w chwili, gdy pewni są wygranej, Jola popełnia błąd psychologiczny. Wszystko — mówi — albo nic, akurat to samo, czego żądał ongiś sam Kador. I przegrywa. Bo podczas, gdy Kador jest dla niej synonimem tego wszystkiego, tysiąca możliwości, kryjących się poza małżeństwem i nim, ona będzie dla niego jedynie „przygodą", której nie składa się w ofierze ani honoru męskiego, ani wierności będącej własnością innej, tej, której wszystko zawdzięcza. I Antoni wyrywa się z sieci Kelemenów; gdyby wiedział o rozmiarach klęski rodzeństwa, możeby mu pozostawił garść tego — na czem im najwięcej zależy, — złota; ale nie wie i odchodzi. Do Afryki, do Falcoini, do domu, do ciszy i pracy.

Ale nie wszyscy. Bo oto świadomość przegranej, z mózgu przedostała się do serca Kelemena i sumienia. Jakże nisko upadł, układając ten plan, stręczył własną siostrę, gotowy na największe podłości. A jeżeli był zdolny do tego — jak daleko może jeszcze stoczyć się? I Kelemen popełnia samobójstwo; jedyny czyn rehabilitujący go we własnych oczach, jedyny akt wiary w to, że jest w nim jeszcze coś, co warto uratować przed zagładą. Nie z poczucia ohydy swych czynów, lecz lęku przed temi, jakich może się dopuścić. Bo poto by popełnić samobójstwo trzeba przedewszystkiem mieć szacunek dla samego siebie. Nie popełnia się go, z uczucia obrzydzenia....*)

„...Padłem, mogłem też paść na wojnie. O wielki Boże, przebacz mi— myśli tonąc—nie gniewaj się na mnie. Chciałem inaczej. Nie wiedziałem, że nie potrafię urządzić sobie życia, albo je chociaż przeżyć. Nie wiedziałem, że potrafię z niem tylko skończyć, a nawet nie to, tylko je zaprzepaścić... Nasze pokolenie wogóle nie nadaje się do życia. Nie może, nie umie wziąść się do niczego, ale naprawdę, nie jestem winien, nie tak, wcale nie tak chciałem, Boże! Nie gniewaj się na mnie, pozwól mi wrócić czystym do Ciebie, spokojnie jak do domu...".

Taka jest to przygoda, mogąca się wydarzyć w każdem innem mieście powojennej Europy. Znamienna rzecz: niema w tej opowieści ani żółci, ani goryczy, ani pretensji, raczej zdumiewający umiar i prostota.

Tem znamienniejsza, że wiemy dziś wszyscy, jak Körmendi szukał pracy, prosił i kołatał o nią, a nie dano mu, przymierał głodem, a nie nakarmiono. Wówczas zaciął się i o zimnie i głodzie napisał tę, z rozpaczy powstałą, niesfałszowaną, prawdziwą książkę. Kiedy się o tem pomyśli, cała „Przygoda" ukazuje się w zupełnie nowem oświetleniu. Świat jest pełen takich Kelemenów, na dziesiątki liczy Kadorów, i nędza bezrobocia jest pełna grozy. Ale gdy pomyśleć, że jednym z nich był autor, to każda karta, każda scena nabiera nowego znaczenia...

Może zresztą nie był... Może tylko wahał się pomiędzy „być albo nie być" jednym z nich. Musiał chodzić przez długi przeciąg czasu wśród takich Kelemenów, oddychać tem samem powietrzem, drżeć, że jeszcze chwila a upadnie i stanie się jednym z nich. Musiał być wodzony na pokuszenie, walczyć i lękać się. Kto wie, może wołał w lęku: „O, Boże, raczej pozwól mi zginąć, niż się spodlić"... A w okrzyku tym nie ma nic z modlitwy faryzeusza, nic z świętobliwego oburzenia, jedynie lęk człowieka zawisłego nad przepaścią...

Lecz z drugiej strony tkwiła w nim widać okrucha kadorowskiej stali, która nie pozwoliła mu zginąć. Może też nosił w sobie wspomnienie takiego napotkanego Kadora, człowieka — powodzenia, może tylko był to ideał jego marzeń młodzieńczych o zaspokojeniu ambicji męskiej. Nie wiem. I nie wiem, z jakich przeżyć powstały te fascynujące sceny, ta gra Andora o stawkę, i ta bez porównania groźniejsza walka Kadora o życie, o byt, walka z Heleną o wszystko, wszystko lub nic, człowieka, który nie chce żyć w przeciętności. Wiem jednak, iż pisał to wówczas, kiedy ludzie obojętnie i bezlitośnie odwracali się od proszącego.

I to właśnie ta świadomość jest miarą wartości Körmendiego. Niema w nim cienia nienawiści, niema w nim zaślepienia. W rozpaczy i beznadziei, na przekór sobie, swemu życiu, potrafił żyć poezją, zachować młodzieńczą wiarę — i jednemu Kadorowi, postawionemu wobec armji Kelemenów dać pełnię zwycięstwa.

A pokolenie Kelemenów czyta „Przygodę", widzi w bezstronności autora rzecznika swej sprawy i powtarza z Andorem:

„Tak to prawda, — przeklęta wojna.. Gdyby nie ona byłbym może jak ojciec mój, kupcem, adwokatem, profesorem... możebym zaszedł dalej... Może mam zdolności i talenty, o których nie wiem, nie dano mi ich rozwinąć... Zrazu po wojnie mówiono mi, że nie doświadczenie, lecz spryt i szybka orjentacja decydują o powodzeniu... Ileż fortun powstało w ten sposób. Potem — zaczęto nam tłomaczyć, że tylko specjalista - fachowiec może się wybić nad innych, — było zapóźno... Dziś, nawet praca jest czemś nieosiągalnem. Niema pracy, — niema pracy dla niejakiego człowieka"...

Nie, nie mogę się zgodzić z tem, by „aktualność" takich książek była wrogiem trwałości.

Ci co szli i z Remarquiem na front i załamali się, przeżyli z Kôrmendim gorycz bezrobocia, odnajdą zawsze z nimi kontakt. Jak długo pokolenia wojennego, tak długo trwać będzie aktualność tych powieści. Za lat parę będą pokazywać je dzieciom, wychowanym w kulcie pracy, jako rzeczowy dowód swej słuszności, — dokument prawdy. Za lat kilkadziesiąt... za te kilkadziesiąt lat, ktoś napisze ostatnią część Sagi Kelemenów, i to najboleśniej ich dotknie, — własne dzieci „spece zawodowe", zarzucą rodzicom ich nicość i powstaną przeciw tym, którzy nie umieli przekazać im żadnych dóbr, ani duchowych, ani materjalnych i wówczas Kelemenowie się skończą...

*) FR. KOERMENDI: „Przygoda w Budapeszcie". Warszawa, 1934. Gebethner i Wolff.

*) Michael Maturcio: Les Traqués.

Jan Bajkowski

Obok życia

Przeglądałem kiedyś jedno z wydawnictw niemieckich z zakresu plastyki. Tomów było naturalnie bardzo dużo, a wszystkie bardzo grube i bardzo brzydkie, bo sprzed lat mniejwięcej trzydziestu. Wewnątrz setki barwnych ilustracyj, jednakowo nużących i jednakowo bezbarwnych. Wydawnictwo poświęcone w zasadzie sztuce międzynarodowej nosiło właściwie charakter przeglądu malarstwa niemieckiego. Musiało ono przecież dominować... W rzeczywistości przygniatało tylko swoją liczbą, jednakowym brakiem smaku, koloru, jednakową fakturą, jednakowym patosem utytułowanych dostojnością tytułów naukowych nazwisk, które nigdy nawet nie przekroczyły granicy popularności, nie mówiąc już o sławie.

Nagle spojrzało na mnie czworo wyraźnych oczu jasnego renoirowskiego obrazu. Doznałem takiego wrażenia, jakbym na chwilę otworzył okno i wpuścił do wewnątrz trochę świeżego powietrza. Trochę i na chwilę. Bo potem znowu zaczęły się reprodukcje niemieckie, nudne, dostojne, okropne!...

Często wracam myślą do tych oczu. Tyle nasuwają refleksyj! Są przecież dowodem ogromnej zasługi impresjonizmu, są jednak i początkiem całego owego nadmiaru rozmaitych zagadnień formalnych, które źródło tworzenia umieściły jedynie w ośrodkach mózgu. Wolę to już z dwojga złego, aniżeli łapy i tylko łapy malarzy przedimpresjonistycznych, jednakowo beznamiętnie mieszających wiecznie te same farby, przygotowane na wiecznie te same „sceny rodzajowe", portrety i im podobne dzieła. Tylko dlaczego koniecznie „z dwojga złego"? Przecież w sztuce nie decydują jedynie ręce albo mózg, ten mózg, który nas wprowadził w błędne koło zagadnień formalnych, z którego ani na chwilę nie możemy się wydostać. Dla ratowania sytuacji przypomniano o treści, oczywiście i tym razem w formie zagadnienia. Skutek to miało taki, że poczęto biegać w kółko, powtarzając skolei na przemian słowa: treść i forma...

Bo też trzeba przyznać, że z treścią to nie jest taka łatwa sprawa. Zestawiona z rozwiązaniami natury formalnej pasuje od nich niejednokrotnie, jak ów przysłowiowy garbaty do ściany.

Weźmy chociażby sztukę religijną. Pozostawiona od lat kilkudziesięciu na uboczu, degenerowała się dalej w swoim akademickim klasycyzmie, aż wreszcie przeszła w ręce rozmaitych wyrabiaczy obrazów, fabrycznych poprostu producentów. Jeszcze się rzucili na polichromję kościelną malarze z okresu secesji; dawało im to przecież duże pole do wymyślnego ornamentu. Cenimy dzisiaj te dobre chęci, pozostałości jednak zapału — mniej.

Całą karykaturę takiego stanu wyczuwa się już powszechnie. Jakże jednak liche, nieporadne i niepoważne są wszelkie próby! Pokazywał mi jeden z młodych architektów reprodukcję postaci Chrystusa w jednym z nowych kościołów niemieckich, ciekawie skomponowaną z blachy miedzianej. Podziwiając naprawdę wartościową, o dużym poziomie kompozycję, podziwialiśmy jednocześnie tupet umieszczenia jej na ołtarzu; w żaden bowiem sposób przed tym krucyfiksem nie możnaby się było modlić... W tem sęk! Sęk, czyli jeszcze jedno zagadnienie, włączone do tej całej gromady innych, wokół których wciąż drepczemy, wciąż i wciąż.

Nie uratują sytuacji i tematy podawane z zewnątrz. Przeciwnie, nawet ją pogarszają. Może właśnie dlatego, że są dyktandem, narzucaniem, a nie stanowią wewnętrznej potrzeby wypowiedzenia się artysty.

Tu odnajdziemy tę drogę, którą zasięg współczesnego państwa pragnąłby zmonopolizować sztukę, sprowadzając ją do roli użytkowego przedmiotu. Tu jest droga do usadawiania się płytko i fałszywie pojętej sztuki narodowej, przejawiającej się w tem, co pospolicie nazywamy „malowaniem krakowiaków", tędy wlazła sztuka, zachłystująca się maszyną, miastem, sztuka t. zw. proletarjacka, nie będąca w gruncie rzeczy niczem innem, jak tylko nowostką, stworzoną dla dreszczyku... burżuazji; proletarjat bowiem wcale jej nie pragnie i nie rozumie. Czyż może się domyśleć, że w tym zawiłym steku rozmaitych znaków pisarskich, całej formalnej łamigłówki mieści się jego nędza, głód i ciężkie życie? Tędy wreszcie wkroczyła wczorajsza rewolucyjność niezdolna już dzisiaj nikogo przejąć, wzruszyć, a szczególnie przerazić.

Tak się maluje, pisze, tworzy, gdy się nie chce widzieć wielkiego gościńca, po którym idzie życie. Dlatego brak jest sztuce wyrazu, brak jej mocy, wielkości, a przedewszystkiem — szczerości.

Ale może ten ostatni zarzut nie jest taki słuszny, może to tylko pozory, zbytnie, krzywdzące uogólnienie? Może... Widocznie szczery głos ginie w gęstwinie problemów formalnych. I tu się rodzi reakcja zwrócona przeciw tej pozycji, jaką sobie forma ostatniemi czasy zdobyła. Reakcja w gruncie rzeczy nawet śmieszna, ale zupełnie zrozumiała. Bo i czy nie wytworzyła się sytuacja wręcz paradoksalna? Czy rozwiązywanie zagadnień formalnych nie odsuwało ich bezustannie od życia i nie umieściło wkońcu renoirowskich dziewczynek w ciężkich, pluszowych ramach „zapinanych na guziki", ozdobnych ćwieczków, bezgustownych złoceń i całej tej ogromnej, rozpanoszonej, bogatej brzydoty?

Jakże mi jest żal tych oczu, patrzących z przerażeniem i smutkiem na pozbawiony wszelkiego smaku „salon", na te aksamity, kotary, draperje... Mam wrażenie, że usłyszę nagle ostry kaszel biednych płuc, zmuszonych oddychać kurzem czającym się w tem wszystkim. Nie można było, wgłębiwszy się w zagadnienia malarstwa stalugowego, zapomnieć o kształcie chociażby tych — stalug. Prawda, sztuka dzisiaj dotyka już każdego sprzętu. I nawet dużo zawdzięcza owemu laboratorjum, jakiem stał się, był i jest jeszcze nadal obraz. Tylko, że ten nawet nie chce uznać swej zasługi. Nie wie może o niej, gdyż stwierdziło ją życie, od którego odbiegł daleko. Sam przecież w rozwiązywaniu swoich zagadnień doszedł do samobójczego wniosku, że jest na tle nowego wnętrza czemś zupełnie zbędnem. A to nieprawda. Obraz jest potrzebny, tylko nie może tkwić ciągle i nadal w laboratorjum, zamkniętem na siedem spustów. To co kiedyś było prądem świeżego powietrza samo się dzisiaj z jego braku zaczyna dusić. A przecież wystarczy tylko się zdecydować na wejście w życie. Nic więcej.

Tydzień książki

WEDŁUG DANYCH ZJEDNOCZONYCH ORGANIZACYJ KSIĘGARSKICH

ANTONIEWSKI S. DR.: Opłacalność kierunków w drobnych gospodarstwach. Cz. I. Trzechlecie dobrej konjunktury 1927 — 1930. 8° str. 343. Warszawa 1934. Księg. Rolnicza. Zł. 5.50.

BANACH S., SIERPIŃSKI W., STOŻEK W.: Arytmetyka i geometrja dla VI kl. szkoły powsz. z 81 rys. 8° str. 160. Lwów 1934. Książnica Atlas. Zł. 1.40.

BAL A. INŻ.: Gospodarka mleczna. III. Serowarstwo z 45 rys. 8° str. 94. Warszawa 1934. Księg. Rolnicza. Zł. 2.40.

BRZÓSKO-GUDERSKA J.: Choroby pszczół i ich zwalczanie z 20 rys. 8° st. 61. Warszawa 1934. Księg. Rolnicza. Zł. 1.40.

BUCZOWSKI ROM. J.: Pierwsze wyniki powszechnego testowania. 8° str. 58. Warszawa 1934. Nasza Księgarnia. Zł. 1.20.

CZAJKA J.: Informator administracyjno-podatkowy. 8° str. 63. Warszawa 1934. Księg. Rolnicza. Zł. 1.40.

CZERNY A. L.: O wojewodzie Gwilenie Krzywonosie. Powieść rycerska. 8° str. 355. Warszawa 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 9.00.

FALSKI M.: Czytanka dla kl. II szkół powsz. miejskich. 8° str. 143. Lwów 1934. Książnica Atlas. Zł. 1.10.

Fermentacja tytoniu. W opracowaniu **INŻ. J. TROJANA, INŻ. S. SLIPIERSKIEGO i INŻ. W. LEŚNIAKA** z 45 ilustr. 8° str. 136. Warszawa 1934. Księg. Rolnicza. Zł. 3.00.

GAERTNER H.: Mowa polska. Podręcznik do ćwiczeń językowych dla VI kl. szkoły powsz. 8° str. 31. Lwów 1934. Książnica Atlas. Zł. 0.40.

GARRIGEN - LOGRANGE R. O.: Opatrzność a ufność w Bogu. Wierność i zdanie się na Boga. Przeł. dr. A. D. Drużbarska. 8° str. 352. Gniezno, 1934. Księg. Św. Wojciecha. Zł. 8.00.

GOŚCICKI J.: Zadania polityki rolniczej w Polsce wobec zmian w międzynarodowem obrocie produktami rolniczemi. 8° str. 77. Warszawa 1934. Ksiąg. Rolnicza. Zł. 1.50.

HAJEWICZ J.: „Kuźnia Młodych". 8° str. 27. Warszawa 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 1.50.

HANWID K.: Jak racjonalnie szukać posady? Sztuka sprzedania swej pracy. 8° str. 56. Warszawa. Dom Książki Polskiej. Zł. 1.50.

KLEMENSIEWICZ Z.: Język polski. Ćwiczenia i pogadanki gramatyczne dla II kl. gim. 8° str. 61. Lwów 1934 Książnica Atlas. Zł. 0.60.

KOBYLAŃSKI J. W.: O łosiu. Wykaz artykułów zawartych w „Łowcu" i „Łowcu Polskim". 8° str. 50. Warszawa 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 2.00.

Kodeks zobowiązań. Tekst z komentarzem i przepisami wprowadzającemi opracowali: **L. LEWANDOWSKI i M. SUPERSON.** 8° str. 226. Łódź 1934. Księgarnia „Czytaj". Zł. 6.00.

LEWIS S.: Zwycięstwo cywilizacji. Powieść. Przeł. C. Jastrzębiec - Kozłowski. 8° str. 296. Stanisławów 1934. Renaissance. Zł. 8.50.

LOCKE W. J.: Wielki Pandolfo. Przekład J. Sujkowskiej. 8° str. 322. Warszawa 1934. „Rój". Zł. 3.00.

MAKUSZYŃSKI K.: Uśmiech Lwowa. W cyklu „Po ziemiach polskich". 8° str. 62. Warszawa 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 0.90.

Wincenty Burek

Pożegnanie z ziemią

Bratu.

1.

W mówieniu Marcina Krysy nie biedoliła skarga. Dzisiejsza wsiowa dola nie pobruździła mu twarzy tępym kozikiem zgryzot i frasunków. Nie zbielały mu włosy, nie pogarbił się grzbiet. Jak zawsze, jak odmłodu — dzielnie stawał w każdejjednej bitce z przeciwnością, nieugięty, mocny, odważny. Zuch — chłop: Marcin Krysa.

Gospodarował na niewielu morgach. Ale idź, i obacz tam, na Ocinku, co się to wyprawia w obejściach tych niedawno jeszcze tuzów, bogaczy i bunotów zapomożonych. I przyrównaj tamtych do Marcina Krysy. Zmierz ich rozległe kmiece włóki miarą Krysowego szczupłego zagonu. Przyłóż te pomordowane, zetlałe w zniście postacie do wyglądu zucha. co się nie dozwolił bidą zatłamsić. I ostał — jak był: hartowny, zaradny, zasobny. Dąb, nie chłop: Marcin Krysa.

— Jak to jest, jak to może być— cudowali się niejedni, i w głowę zachodzili, i roztropnie rozbierali w pospólnem obgadywaniu ów sposób gospodarski, tyle skuteczny dla Marcina. — Jak to może być, żeby się tak wiedło, i było wszystkiemu nawspak. I na małych morgach do tego...

Dziw — dziwem, ale przecie nie mogło być inaczej, niż było. Nie mogło być inaczej i źle, bo na tych małych morgach włodarzył nie kto inszy, ino ten właśnie Marcin Krysa. Gospodarowała głowa mądra i zabiegliwa, harowały ręce sposobne i umiejętne, chodziły za robotą nogi niezużyte i czerstwe. Roztropna myśl Marcina Krysy dawno już pojęła widomą prawdę, że o chudobę w oborze starać się trza, i chować jej jaknajwięcej. Plon z pola nie opędzi wszystkiego, i zachyłku w gotowym groszu niewiele ostawi. Patrzenie w rolę dobre było za dawnych czasów, kiedy stare pokolenia i ziemi miały wiele, i rozchodowały mniej. A dziś jakże odmienił się gospodarski sposób. A za tą odmianą musi pójść insza rada i insze starania około pożytku. Marcin Krysa pochwycił tę radę użyteczną i wprędce wykierował ją tak skutecznie, że w oborze miał rasowe bydło, stadzinę spaśnej trzody, najlepsze nioski w kurniku, chmurę gęsi w zagacie. Grosz niezgorszy zbierał mu się coroku rozmaitym przychodem, grosz dopomagał na te i tamte ulepszenia i naprawy w polu i w zagrodzie, grosz rozpleniał grosz i wynosił Marcina Krysę w szczęście, w dobro, i w chwałę ponad sąsiadów, Marcin Krysa był najszczęśliwszym chłopem na Ocinku. We wszystkiem mu się darzyło niezwyczajnie, dziecka dorodnie się odchowały i były walną wyręką i posługą, baba pasowna w umiejętnościach pola i domu, przygód złych nie było, znisty tutaj nie zalazły, kłopoty tutaj się nie tłukły. Szczęśliwy poprawdzie człowiek: Marcin Krysa.

— Morcina Kryse w cepku z rzyki babka na świat przyniesła — tłumaczyła se wieś sąsiadowe szczęście. I ta wiara ludzka żyła na Ocinku, silna i długa w przeciągu czasu. Bo nic jej nie zmogło i nie podważyło ze stałego miejsca. Nawet kolenije.

Kiedy po długich, korowodach, prawach i mordęgach wypadło wsi przyjąć ten nowy obyczaj na polach, wszyscy wtedy pogadywali to jedno:

— Chybnoł Krysa na kolenijach, chybnoł nascet. Za dobre dawne pola dostał tyla paskustwa. Taką góre gliny. O, urwie mu się teroz, juz styrech krów nie uchowo, nie...

Nie inszego zdania była baba wespół z dzieckami. Narzekaniom i labiedzeniom nie było końca w chałupie. Kobicie i tym młodym zdawało się, że już się gospodarka zwieruszy i zniścieje. Cala wieś o tem gada przecie, obżałowuje i nic dobrego na nowym dziale nie przepowiada. A jak wszystek naród na jedno zgodny, to musi widać czaić się na tej paskudnej kolonji samo zło i szkoda nieodwrócona. Oj, nadeszła bida, i to z której strony!

Marcin Krysa jakoś wcale nie brał sobie do serca ani domowych skarg, ani pożałunków wsi. Nie widać było z jego miny, żeby się zamartwił tym obrotem z polami. Podawnemu wyglądał buczznie i wesoło, cichy zwyczajny uśmieszek nie sfruwał mu z warg, zaś w oczach prześwitywało coś podobnego na zuchwały upór i w rysach twarzy wybijała się jakaś dumna hardość i wola. Jak wtedy zawsze, kiedy brał się za nowy zamysł i odmianę.

— Niech gadają, co chcą — odpowiadał kobicie, kiedy mu naznosiła od kumoszek tych złych ludzkich zdań o ich kolonji. — A jo pokoze. ze krzywdy nie bedzie. Jesce mi pozozdroscą, zobocys.

Zobaczyła wnet wieś, jak się zabierać do polnej roboty w podłym gruncie. Marcin Krysa pokazał wszystkim, że tu nie chybnął. Że nie szkodę będzie miał, ale pożytek nieladajaki. Szkodę mieli ci tutaj przedtem, co robili na wąziutkich pólkach, — nieobrobnych i niezdatnych do właściwej orki i doprawy. Teraz w kolonji, na dużym obszarze, łatwo wyorać grunt akuratnie, łatwo zajeżdżać z pługiem z różnych stron, i tak, żeby było dla siewu i roli najlepiej. Nie spartaczył nic nigdzie, ziemię wyrobił do najpożyteczniejszego skutku, dowiózł wszędzie gnoju, poprószył nawozem. zasiał umiejętnie — i na przednówku musiał wysłać domowych na pole, żeby zżynali wierzchołki zbóż. bo się buiły ponad miarę. A we żniwa leżały po górach garście wedle garści. Sute mendle rozpowiadały żałośnikom zwysoka, że Marcin Krysa opłynie w plony wcale nie gorsze od tamtych z poprzednich swoich lat. Że nie było co bidzić nad zuchem, któryby na litej zozdze i pałydze posiał, i jeszczeby mu się opłaciło sowicie. To więc kręcili głowami, dziwowali się serdecznie i zazwyczaj zapierali pogwarkę zawsze tem jednem:

— Carownik un, nie człowiek.

A czarownik Marcin drugiego już lata nie zmieścił wszystkiego zboża w stodole. Na oborze jedna kopka, a poza stodołą druga— wielbiły chwałę gospodarza, plenny zabieg jego głowy i rąk, i dobroć wyraźną ról. Ludziom wierzyć się już nie chciało. Podziw okolny gęby zamykał.

Tego roku po żniwach widziało się Marcina Krysę, jak często chodził tam i sam u skraja swojej kolonji, w miejscu, gdzie miękkim, równym ukłonem zaczynały się jego grunty pobok drogi. Spory spłacheć pola był ozdobą kolonji. Bywały tu dawnemi czasy ogrody warzywne — najprymniejsza popielatka sprzyjała burakom i marchwiom. Dzisiaj leci tędy nowa droga, wyłazi równo po maławym stoku i dzieli czoła kilkunastu nowym działom naprzeciw leżącym. Najlepsze tu miejsca pod stawiankę. Opodal szosa, zaraz za nią wieś Wysiadłów, a tuż przy drodze są wyborowe ziemie i jest blisko do wody, bo miejsce niskie. To całe okole, aż się prosi, żeby je zabudować, zadrzewić, wykorzystać na delikatny plon. Już stoją ano pierwsze pobudynki wpodłuż drogi i czekają na dalszych sąsiadów.

Marcin Krysa na jesieni niczego nie nasiał na sporym spłachciu ziemi przy drodze. Powbijane w rozmaitych miejscach kołki powiadały o nowych zamysłach gospodarza. A gospodarz kręcił się tu aż do pierwszych śniegów, oglądał owe miejsce, rozważał. W jego oczach i całej twarzy leżał teń wyraźny znak, co zazwyczaj mówił o wykluwaniu się skutecznego zamiaru: twarda, harda wola.

2.

Właśnie miesiąc luty święcił drugą swoją niedzielę. I ten - ci owóż dzień niedzielny umykał skorym krokiem w pomrokę zimowej, rozległej nocy. Dzień, powleczony przykrym markotem ziąbu i martwicy, ożywiał się ino co i raz silniejszym chuchem wiatru i skocznym tańcem podrywanych śniegów. Wieś przycupnęła w spokoju święta, milkliwie leżały drogi i zachałupia. — Popiół nieba, coraz silniejsze zawiewy wiatrów i zaspy śniegu wypełniły świat. A o zmroku już wepchnął się tu rozbrykany wicher i zaczął dokazywać. Zatrzęsły się węgły, zaskrzypiały budynki i drzewa. Noc przyszła na barach rozhuku, świstu i jęku wichury.

Marcin Krysa nigdzie na odwieczerzu nie wychodził, choć lubił przepędzać niedzielne popołudnia pośród sąsiadów gdzieś na wsi. Dziś było mu jakoś dziwoacznie na duchu, osobliwy zgryz i mąt w myślach posadził go w chałupie. Na dobitkę jeszcze wojenny postrzał w nodze począł siepać i dokuczać. „Oho, bedzie odmiana w pogodzie" — wróżył sobie z boleści. Kobita i dziecka wyniosły się wcześnie na hajtki, ostał sam w chałupie. „Trza się cem zatrudnić, zeby się nie matyjasiło" — pomyślał. Więc wyjął ze skrzynki grubą książkę i popróbował się rozerwać czytaniem. Z sykiem swego bólu i w żałości duszy nad losami Jędrka Połańca z Wiktorowej opowieści zanurzył się na spory przeciąg czasu w tem czytaniu. A wiatr dzwonił ze dworu szybami i majtał gałęziami gruszy, że chrobotały po ścianach.

Wpół odwieczerza zatupotały czyjeś kroki w sieni. Marcin Krysa przeniósł oczy z książki ku drzwiom. Sąsiad bliski, Siwy Kaźmirz wszedł za próg. Skulony i zziębły, zaraz po witaczce pogarnął się do cyganka, ażeby się ogrzać.

— Ale tyż świądzil — zaczął spod pieca. — I tak mnie przejeło zimno przez te kilka stoj od chałupy, ze jaz...

— I mnie, kumie, juz od południa kością drze. Na coś sie widać zanosi...

— Zaniść sie — zaniesie. Takie potworaczne planety, wicie, wyłazą, jak w lecie przed uliwą. I zrywo się wiater, — o, słysycie, jak się tłuce?

Zasłuchali się obaj w ciszę chałupy i spoza niej dołapywali stłumione hałasy i pogwizdy rozbaraszkowanego wiatrzyska. Gospodarskie, czujne ich oczy poszły razem w uważnem patrzeniu na kalenicę stodoły, żeby wymiarkować o sile wiatru, i czy aby, zaraza, krzywdy jakiej w poszyciu nie zrobi. Na szczycie stodoły widać było wyraźnie, jak wznosiły się pęki snopków i trzepotały w nagłych podrygach. Martwa kalenica — ożyła.

— No i jak tam, kumie, nie bedziecie cekali ze stawianką? — napoczął pogwarkę Siwy Kaźmirz. Kolonję miał pobok Marcina, to go juścić musiało, żywo obchodzić, co sąsiad zamyśla z wiosną, której niedługo przecie czekać. Bo już z wiosną ruch pójdzie tam na nowem wedle drogi, pobudynki wyprowadzać się będą naschwał, Marcin Krysa przenosi się ze wszystkiem na kolonję, gdzie i wygodniej i pożyteczniej. Juści, że pożytecznie. Dogląd jest akuratniejszy w polu, nie trza się będzie wlec do roboty tyli kawał, taka wygoda w paszeniu, w zwózce, we wszystkiem. A jakie ogrody dadzą się wprowadzić, jaki sad pod zachód słonka może się rozkrzewić na pszennej ziemi. To niedziwota, że Marcinowi Krysie tak śpieszno ciskać stare obręby, zwłaszcza, że i ma sporo tej materji, co uciążliwszy nawet zamysł dopomoże zmajstrować. Jemu to zawsze łatwiej, niż komu.

— Już na wiesne ruszycie robote, prowda? — Siwemu Kaźmirzowi pilno się było wywiedzieć. jak i co. Nie ino on jeden ciekawił się planem Marcina Krysy. Przecie każdyby trzy razy pomyślał, zaczemby śmiał chwycić za taki zamysł, co i w dobry czas bywa ciężki w zrobieniu, a cóż dopiero teraz. W taką bidę niestrzymaną.

I po chwili Marcin Krysa rozłożył przed sąsiadem ten plan ze stawianką.

— Bo wicie, kumie, tak...

Drzewo na pobudynki, majstry do stawianki i wszystko, co potrzeba po temu. już zgodzone, umówione, pozadatkowane. Pieniędzy gotowych małowiela się ma, na grubszy rozchód spewnością ich nie pozabraknie, a nie starczy, to na to znajdzie się rada. Dwie spasione świnie są na sprzedaż. I krów ze dwie można zepchnąć. O, w stodole nic się nie utrwoniło, cały zbywający sprzęt z roku będzie stal do rospensu. Wystarczy, napewno wystarczy.

— Mówicie, ze nie wydole ,ze za nic utrwonie chudobe? Ej, nie boje sie. Nase jest tanie, ale i kupne staniało.

Zatopili się docna w obrachunkach, w poręcznych zamysłach, w przyjacielskiej, serdecznej naradzie. Z zakąci wylazł chyłkiem mrok i gramolił się po chałupie. Owijał się wokoło gratów i wprędce zapanował, pajęczynie podobny. A w mrok na dworze wszywały się gwałty wichru, mrok mięsiły i roztrącały krzepkie napędy niewiadomej siły — i raptem jeszcze zadudnił znany głuchy, groźny głos.

Gadka zerwała się w połowie zdania. Obaj podbiegli do okna i ujrzeli przez blade szybki kurzawę planet nad oborą, A śród nich migot przez pół nieba. W uszy coraz wwiercał się ten znany, groźny głos. Popatrzyli na siebie w zdumieniu.

Z trzaskiem, zziajana wpadła do izby Krysina.

— To wy tu siedzita i nie witanic, co sie na świeci robi? Kuniec świata prowdziwy. Wichura, świata nie widać, od Świętego Krzyza wali chmura, grzmi. Pierony biją! — W blasku zapalonej gromnicy przeraźliwie blada, przelękła jej twarz wykrzywiała się nie dopoznania.

Chłopy wyskoczyły na dwór. Koło węgła zamietło Siwym Kaźmirzem tak, że nie mógł kroku postawić. Marcin Krysa uczepił się sztachet i patrzył, nic nie rozumiejąc z tego wszystkiego. „W zimie—pierony!"—mamrotał oślepiony razporaz straszliwemi błyskawicami, rozmiganemi od zachodu i północka. Huk bębniący, turkot nad głową, wycie wichury, noc czarna jak smoła po każdem łyśnięciu — i ta myśl o zimie, ten śnieg pod nogami, śnieg bijący po twarzy, — wytrącały myśli z łożyska. Scierpły ciała i sterczały przyklejone do podpór. Strach padł.

Raptem „Jezus, Marja!" — wydarło się obom z gardzieli. Jakby ziemia się rozdarła koło nich. Przeraźliwy huk i straszna siła starła obu i wywaliła nawznak. Kiedy się podnieśli — wszystko wokół nich było jednem wielkiem płomieniem. Ostatkiem pogruchotanych sił dźwignęli się ze zwałów ożarzonego śniegu. Ratować! Ratować!! Wlecieli do izby. Siwy Kaźmirz zgarnął poduszki i wepchnął narręcz, siłą go wcisnął w wyciągnięte ramiona Krysiny, bezradnej i rozlatanej po izbie w niemocie trwogi. Jeszcze zachwycił jakieś pierzyny, po drodze popchał ku wyjściu krzyczącą kobitę, i razem wybiegli na dwór. Na głowy leciały im zwity ognia ze strzechy. Strugi ognia przegrodziły już jedyne wejście do wewnątrz. A tam ze środka krzyczał Marcin Krysa wielkim głosem jakieś słowa, głuszył je trzask ognia, huraganu, nawałnice grzmotów, i po chwili wypadł z płomieniska, oślepły, poparzony, w tlejących chabach.

— Bydło! Ratujta bydło — z wrzaskiem leciał ku chlewom, pomylił w dymie drogę i biegł nieporadnie ku rozryczanym, kwiczącym zwierzętom. Pogonił za nim Siwy Kaźmirz i miał jeszcze tyle czasu, ażeby odciągnąć zwisłego na ściandze w drzwiach stajni, gdzie rżała i tłukła się w bólu kobyła. Na oborze już ani wytrzymać. Siwy Kaźmirz zarzucił napół żywego Marcina na siebie i, jęcząc, poszukał wyjścia poza pożogę. Porwali ich jacyś ludzie, zaczęli gasić na nich szmaty, tarzać ich w stopniałym od żaru śniegu.

Pobudynki, gadzina, statki, chudoba cała, wszystek zachyłek, wszystka majętność Marcina Krysy i dorobek całych lat topiły się pod groźnem niebem. W warkocie burzy i w jęku piorunów. W otoku śniegu i mrozu.

Stopniały ze szczętem plany i zamysły.

3.

Dogrzewa wczesne słońce wiosenne, zalewa świat potopem promieni i budzi każdy przygasły żywot. Tyle słonecznego wesela w tym roku. Tak chybko zleciał zamróz z pól. Skoczna radość wytryska naokół, że jest tak dobrze w tej wiosennej światłości. Życie ma uśmiech szeroki.

Dla wszystkich na Ocinku, ino nie dla Marcina Krysy. Dla niego nie zagląda tutaj uśmiech wesela. Gdzie tam mówić o uciesze. Odeszła światowa uciecha od niego w tamtym dniu okropnym i już nigdy tu nie wróci. Że tak będzie, to widać.

Dobrych parę tygodni mocuje się nazabój z uchwytem śmierci. Mało że się srogo poparzył, że jest cały w bliznach niezagojonych i pęcherzach. Nadomiar jeszcze otworzyły się w nim jakieś słabości, spewnością z przeziębienia, bo siedzieć nie było gdzie i trza było bidę swoją rozwłóczyć po cudzych, zimnych kątach. Lekarstwa nie zradziły, pomoce różne nie naniosły pomyślnego skutku. Marcin Krysa tlał cicho i dogasał wreszcie na garści słomy w sąsiadowej izbie. Kobita i dziecka nagotowiły się na najgorsze. Żeby chociaż jeszcze tego jajka święconego doczekał.

W Wielkim Tygodniu oprzytomniał conieco, i zdawało się, że mu jest lepiej. Wszyscy przepowiadali pomyślny obrót w słabości. Słońce i piękna pora dopomogą może bidakowi, i wstanie któregoś dnia, aby dźwigać gospodarkę z upadku. Marcin Krysa wyraźnie orzeźwiał. Świadomem okiem popatrywał na to, co się działo wokoło.

Zrana w Wielki Piątek zawołał do siebie swoich najbliższych. Bez niczyjej pomocy dźwignął się na posłaniu i usiadł. Rodzina, i kto tam nie był w chałupie pod ten czas, obstąpili go, ciekawi — czegoby chciał.

Marcin Krysa rozejrzał wszystkie twarze, uśmiechnął się, a w oczach i w wychudłych policzkach pojawiły się te same znaki, co zawsze kiedyś wróżyły o hardej woli i zamysłach ku pożytkowi. Dawnym, mocnym głosem nakazał:

— Chłopoki! Przynieśta mi z koleniji skibę ziemi. Ino zeby z posiwem była.

Na jednej nodze uwinęli się z posługą. Ostrożnie wnieśli na łopacie placek popielatej treści z zielonemi wicherkami młodej runi na wierzchu.

— Połozta wedle mnie. O, tu pod ręką.

Marcin Krysa wyciągnął obie ręce ku wiotkim piórkom posiewu, wsunął palce między łodyżki i jakby gładził je czy prostował najmiększem poruszeniem. Oczy wpiły się w roztrzęsione grudy, pospinane korzonkami, oczy napatrzeć się nie mogły na wiosenny cud wzrostu życia. Nagłym ruchem ręki pochwycił umajoną, rodną ziemię i zwarł ją silnie zaciskiem palców. Ściskał ją tak, że aż żyły nabrzmiały mu na skroniach. Twarz coraz jaśniała i powlekała się blaskiem uciechy. I wnet potem ostygła w tym znaku ostatniego szczęścia.

Marcin Krysa w gospodarskiem śrataniu rozstał się z wierną ziemią. Ażeby tak wcześnie i tak niespodzianie dać jej siebie w miłosierną opickę.

Janusz Kawecki

Z cyklu: Lutnia ziemieńska

Gdy zegar bije...

Krzepcyśmy, Bogu dzięki, więc oto nie kwilim,
że na ławie przytwardej do snu nam posłano.
Dobry pod czerep łokieć i pod grzbiety kilim!
— Nie wstyd, pieszczochu, wołać o puch i o siano?

Zgasł nagle chwiejny płomyk w cynowej tuleji,
ruda głownia w kominie zetliła się docna.
— Jakoż spać, jakoż drzemka powieki ma skleić,
gdy słowiczem kląskaniem lutnia śpiewa nocna!

Zwinięte wkląb, westchnęły gdzieś z kąta ogary.
Promień miesięczny przypadł do pańskiego krzyża.
...Raz - dwa - trzy - cztery... biją powoli zegary.
Jeszcze jedna godzina do wieczności zbliża...

Wawrzyniec Czereśniewski

Nacięcie toporem

Na świerczyny pniu starym pożłobionym bruzdami
Widzisz grynszpanową zaśniedziałą korę.
I to, że ktoś odłupał korę do lśniącego drewna
Równie lśniącym, ciężkim, żelaznym toporem.

Oko, cięte w korze do słonecznego drzewa
Jest dobrem Okiem Opatrzności Bożej,
Wstęgi przyschłej żywicy to promienie Oka,
Które wszystko dostrzega, Które wszystko może.

I dlatego w tym lesie jasno i swobodnie,
Szum biega od wierzchołka drzewa do wierzchołka,
Goni się z konarami, igłom się wymyka,
Póki na porębie zawady nie spotka.

To Oko Opatrzności, nacięte toporem,
Łaskawie rość pozwala mchom kołtunowatym,
Dalej patrzy i bystrzej, niźli ty, człowieku,
W lesie od nierozumu zdziwiony i blady.

* * *

Ogarniam zwarcie sosnę ramionami,
Wydaje się wówczas, że sosna z mojej piersi rośnie,
Sęki tryskają żywicą, rozszerza się kora,

Konary ku niebu rosną coraz głośniej.

Wydaje się wówczas, że korzenie sosny
W pierś się moją wparły niczem w dobrą glebę.
Przygniatając pniem prostym, okrągłym,
Wzrastają miarą serca, na jego potrzebę.

Albo to nieprawda, żeby z mojej piersi
Wyrastała taka wysoka sosna, sosna ciężka,
Przecieżby jej korzenie musiały się kulić,
Nie miałyby gdzie mieszkać...

Jeśli nieprawdziwie sosna z piersi rośnie,
Spod serca jak na swojej, dobrej, złotej roli,
Prościutko, nieulękle w bezgraniczne niebo,
To jednak tak prawdziwie sercem targa, boli.

Wojciech Wasiutyński

Z duchem czasu

Katedra w Nikomedji

Nareszcie raz napiszę w dodatku literacko-artystycznym coś, co ma związek również i formalny z literaturą, a przynajmniej z recenzją.

Powinienem więc właściwie zacząć: „Leży przed nami niewielka broszura...“.

Ale zacznę nieco inaczej: Legła przed nami wielka ilość pierwszych chrześcijan w podziemnych cmentarzach, zwanych katakumbami...

Katakumby! Labirynt ciemnych lochów, wokół groby pomordowanych męczenników; w ciasnej, wykutej w skale pieczarze zbiera się tłum zakapturzonych, bladych postaci. Straże ukryte, mdłe kaganki, przewodnicy, trzykrotnie wymieniane hasła, tajemnie odprawiana Msza. Wszyscy udają członków bractwa pogrzebowego wobec władz. O kilka kilometrów, oddzielających pustkowie, wśród porzuconych kamieniołomów, gdzie mieszczą się katakumby, od miasta — w stolicy świata na Palatynie pijany cezar z olbrzymim dworem nurza się w rozpuście. Dziki tłum rzymski groźnie i z nienawiścią patrzy na każdego chrześcijanina, jako na czciciela oślej głowy i pożeracza niemowląt, rad torturować go i szaleć. A cezar i jego urzędnicy nic wiedzą i nie czują, jak wokół nich rośnie w podziemiach chrześcijaństwo. Nic wiedzą nic o ukrytych pod ziemią katakumbach.

Obrazek ten jest fałszywy. To nie ja mówię, że fałszywy. To mówi ksiądz Antoni Kwieciński w swej broszurze „W podziemiach czy na powierzchni“.

Jest fałszywy i to z gruntu.

Przedewszystkiem większość katakumb rzymskich pochodzi z okresu „wolnościowego“, z okresu po Konstantym i po edykcie medjolańskim. A następnie... A następnie zamiast tego fałszywego obrazu, jaki mamy w tradycji i literaturze, odtwórzmy prawdziwy:

W katakumbach śpią spokojnie zmarli i ci umęczeni, i ci zgaśli śmiercią naturalną. Żywi nie mącą ciszy grobów. Zrzadka tylko w okresie po zamurowaniu nowego grobu, w krypcie zbiera się rodzina i przyjaciele. Przynoszą jedzenie i napoje, grupują się wokół pustego fotela kamiennego, który jest przeznaczony dla zmarłego i odbywają, jak ich przodkowie — poganie rzymscy — ucztę żałobną w grobowcu. Ale kościół temu przeciwdziała. Zabrania i nakazuje zamiast stypy odprawiać Msze żałobne.

Mamy więc Msze. Ale nie odbywają się one w katakumbach. Jeżeli gmina świeża i mała, odprawia się ofiarę w domach prywatnych, jak św. Piotr w domu senatora Pudeusa. Jeżeli jest większa, ma kaplicę często właśnie nad katakumbami na powierzchni ziemi. Ale nietylko tam. W Rzymie za Dioklecjana, w okresie prześladowań, było 40 kościołów parafjalnych. A w Nikomedji? W Nikomedji jeszcze przed edyktem Konstantyna nad całem miastem górowała — katedra chrześcijańska.

W Rzymie pogańskim, który otacza kościoły, rozpustny lub nierozpustny cezar ciągle dostaje raporty o rozroście chrześcijaństwa. Tajna policja czuwa. Tajna policja wie, ilu jest chrześcijan, z jakich się rekrutują warstw, jakie są wśród nich spory, gdzie grozi wybuch herezji, kto im sprzyja. O kryciu się pod płaszczyk bractw pogrzebowych niema mowy. Bo jakże: kilkadziesiąt tysięcy ludzi w Rzymie — wszystko w bractwach?

Biskupi zjeżdżają się na synody. Władze mają nawet dokładne listy chrześcijan. Władze urządzają prześladowania i masowe egzekucje. A chrześcijaństwo żyje, rozwija się i rośnie. Więc widocznie niewielu było tych, co wierzyli w oślą głowę i w potrawkę z noworodków. Widocznie natomiast wielu, bardzo wielu było takich, którzy obdarzali sympatją i ochroną chrześcijan, z których środowiska wychodzili katechumeni.

Może motłoch wył w cyrku: „Chrześcijanie dla lwów!“, ale widać „cezar i motłoch to nie był Rzym cały“, była sfera rekrutacyjna chrześcijan, lud, który obdarzał ich sympatją, mimo, a może właśnie wskutek prześladowań. Bo przecież ludzie musieli mieć dość tych krwawych cezarów, z których jeden spędzał drugiego, a każdy wjeżdżał na karkach zdemoralizowanej armji. Wbrew pozorom, chrześcijaństwo było jedynym czynnikiem, obiecującym nietylko rewolucję, ale i stabilizację.

Początki chrześcijaństwa w tem nowem świetle przedstawiają się o wiele bardziej imponująco, o wiele piękniej i o wiele bardziej heroicznie. Oni nie kryli się po romantycznych lochach, nie chodzili z palcem na ustach. Robili wszystko poprostu, z prostotą bohaterów i tam, gdzie tylko mogli — jawnie. Na śmierć szli spokojni, bo zupełnie pewni, że na tysiąc patrzących na egzekucję, przynajmniej kilkudziesięciu zostanie sczasem chrześcijanami.

W „Quo Vadis“ chrześcijanie wyglądają, jak silna tajna organizacja, posiadająca wszędzie swoich ludzi, ale żyjąca w obcem i wrogiem sobie środowisku. Tak wyglądali chrześcijanie w oczach człowieka XIX-go wieku, człowieka wychowanego na tradycji wolnomularstwa, romantyzmu i kapitalizmu. W istocie chrześcijaństwo było w Rzymie ruchem, wspaniałym, ofiarnym, bohaterskim ruchem. Owszem, ukrywali się, gdy musieli, ale nie mieli predylekcji do katakumb, woleli katedrę w Nikomedji. Byli zbyt ekspansywni, aby mogli być ukryci. Chcieli apostołować, nie odprawiać misterja. I apostołowali zarówno słowem, jak i krwią.

Bo, jak przypomina autor naszej broszury, Ewangelja mówi:

„Co wam w ciemności mówię, powiadajcie na świetle, a co w ucho słyszycie, przepowiadajcie na dachach. A nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało, a duszy zabić nie mogą“.

•

Dziwny może trochę ten feljeton, ale ci pierwotni chrześcijanie, budujący katedry w okresie prześladowań, tak mi zaimponowali, że zapomniałem — o feljetonie.

Jan Gralewski

Numer 18

Zdarzyła mi się rzecz bardzo ludzka — ból zęba. Łączyło się z tem zdenerwowanie i zniechęcenie do świata, co jest rzeczą niemniej ludzką, jako że drobne cierpienia najbardziej obrzydzają świat.

W takim to stanie rzeczy, w poczuciu pogwałcenia najelementarniejszych moich praw ludzkich, cóż miałem uczynić, jeśli nie oddać się pod opiekę instytucji humanitarnej, a więc broniącej tych praw, takiej która powinna mi przynieść ulgę w moich ludzkich cierpieniach? Poszedłem tedy do Kasy Chorych. Wyniosłem stamtąd wrażenie podobne do tych, jakie się zapewne wynosi z wizyty u czarnoksiężnika. Oto bowiem, jak było:

Na wstępie zadowolić musiałem wymagania biurokracji. Wiadomo, towarzyszu, porządek musi być. Stanąłem więc przed biurowem okienkiem, które zawsze napawa mnie czemś w rodzaju lęku. Kiedy bowiem nachylam się przed takiem okienkiem i zaglądam poza nie, mam wrażenie, jakbym zaglądał do wnętrza jakiejś niesłychanie przemyślnie skomplikowanej maszynerji, której ani w ząb nie mogę zrozumieć, a od której całkowicie jestem zależny.

Maszyna z za okienka wyrzuciła na pulpit jakąś kabalistyczną kartkę. Kazano mi z nią iść na drugi koniec gmachu do innego okienka, już u progu poczekalni przed gabinetem dentystycznym. Za nowem okienkiem ujrzałem tę samą niezrozumiałą machinę. Przedstawicielka racjonalnej i humanitarnej maszynerji, sp[illegible]zała na mnie, szarego obywatela, dumnie i z lekką pogardą. Nie odpowiedziała nic na moje zapytanie, czy długo będę czekał. Rzuciła mi na pulpit przed okienkiem blaszany numerek. Teraz dopiero, po tem niejako wcieleniu mnie do machiny, spojrzała na mnie okiem łaskawszem i oznajmiła, że mam czekać, aż mój numer zostanie wywołany.

Przeszedłszy przez te stadja pasowania na członka machiny, wcielony do niej, zaszeregowany jako Nr. 18, usiadłem w poczekalni nieco już pewniejszy siebie. Nr. 18 rozejrzał się dokoła. Na krzesłach siedziało szereg innych spuchniętych i podwiązanych numerów. W poczekalni panował bród i nieporządek, ktoby się jednak tem zgorszył doznałby natychmiastowego uspokojenia, spojrzawszy na drzwi. Tam bowiem widniał oczywisty wyraz porządku — napis: „Lekarz dentysta Nr. 35. Bez wywołania wstęp wzbroniony“.

Długi czas minął zanim wywołany Nr. 18 wszedł do gabinetu lekarza dentysty Nr. 35. Nr. 18 usiadł na fotelu. Nr. 35 począł wiercić w zębie. Nr. 18 jęczał, wreszcie krzyczał — Nr. 35 wiercił, patrząc w okno. Wywierciwszy olbrzymią jamę, Nr. 35 zapchał ją watą, poczem oświadczył, że jeśli Nr. 18 chce się leczyć dalej, winien dokonać takich to a takich formalności, które potrwają niedługo, bo jakieś dwa tygodnie.

Po oddaniu w okienku numerka już jako spowrotem Jan Gralewski zakląłem szpetnie.

Opowiadanie to jest banalne i każdy ze zdziwieniem zapytać może — gdzie tu podobieństwo do wizyty u czarnoksiężnika? A jednak historja ta jest symboliczna. Nie w tem bowiem leżała groza sytuacji, że mi wiercono w zębie, patrząc w okno, że mnie potem z zębem bolącym nieznośnie, odesłano do djabła, to jest do nowych formalności, ale w tem, że uczyniono ze mnie Nr. 18. Wchodzę oto do biura i dostaję numerek. Od tej chwili przestaje być człowiekiem. Dzięki jakiejś potwornej magji pozbawiono mnie człowieczeństwa Nr. 18 nie jest człowiekiem, przeto obchodzić się z nim można nieludzko. Nr. 18-temu wierci się w zębie, patrząc w okno.

Oto symbol nowoczesnego humanitaryzmu, obrony człowieka, przed którą najkonieczniejszą rzeczą jest obrona. W zapale obrony człowieka humanitaryzm czyni z człowieka rzecz. Z rzeczami sprawa wygląda dużo prościej — dla ich obrony wystarcza mechaniczny porządek — wystarczy je ułożyć, naoliwić. Człowiek, z którego uczyniono rzecz, włączony zostaje do ogólnej mechaniki rzeczy i poddany jej prawom. Wolny i braterski obywatel użyty zostaje do mechanicznej budowy. Większe gromady wolnych obywateli łączy się w mechaniczne całości, dla ich szczęścia buduje się mechaniczne urządzenia. Takie właśnie jak humanitarna Kasa Chorych.

Tymczasem jednak okazuje się, że coś tu jest nie w porządku. Gubi się jakoś człowieka.

Taki oto symbol budzi ochotę obrony człowieka przed maszyną. Maszyna humanitarnej Kasy Chorych, maszyną równości, wolności i braterstwa. Bowiem równość, wolność i braterstwo, pojęte bezwzględnie, wydobywają na jaw to podobieństwo wszystkich ludzi, które streszcza się w symbolu: Nr. 18. Pojęte zaś względnie, wobec narodu i Boga, czyli w paradoksalny sposób, przyjęte i odrzucone, wydobywają na jaw o wiele bardziej jasne, promienne i pełne chwały podobieństwo. Nr. 18 bowiem to jedna strona medalu. To tylko reszka, a jak mówi Chesterton, człowiek jest jak moneta—całą wartość stanowi podobizna króla.

Andrzej Mi'ułowski

Propaganda w kinie

Kluczem do zrozumienia wielu zagadnień sztuki filmowej, jej wad i zalet, możliwości i zadań, jest jej charakter powszechny, masowy. Kino jest sztuką dla mas, tak, jak był nią teatr w starożytnej Grecji, czy w elżbietańskiej Anglji, jak była nią poezja w średniowiecznej Francji i fakt ten pociąga za sobą liczne konsekwencje, odcinając film od wielu innych sztuk, o charakterze wyraźnie elitarnym.

Wiek, w którym żyjemy, jest wiekiem reklamy i propagandy. Nigdy w tym stopniu wszystko nie było im podporządkowane. Pod przemożnym też wpływem tych potęg znalazła się i sztuka, czy to jako sztuka zetatyzowana, czy sztuka na usługach idei. Należy jednak podkreślić wyraźnie różnicę między sztuką czerpiącą natchnienie z idei, czego przykładem była poezja romantyczną, a sztuką „w służbie“ idei, jaką jest w najwyższym stopniu film sowiecki.

Sztuka filmowa w Rosji jest całkowicie podporządkowana propagandzie, jest bowiem jednem z najlepszych jej narzędzi, ze względu właśnie na swą powszechność i masowość i to nietylko narodową, ale międzynarodową. Znowu powtarza się ta sama historja, jaką obserwujemy na całym świecie: skrępowanie scenarjusza wymaganiami producenta, a więc czynnika nieartystycznego, tym razem dyktowanemi nie potrzebą rynku, tylko propagandy. W ramach, nakreślonych przez producenta, przedsiębiorcę, czy kierownika ideowego, porusza się reżyser, nadając nieartystycznej treści artystyczną formę.

Stąd powstaje afiszowy charakter filmu sowieckiego. Dzieła reżyserów Sowkina zwykle uderzają siłą wyrazu fragmentów, jako całość natomiast „nie biorą“. Propaganda komunistyczna przez film nie jest specjalnie niebezpieczna dla nas, jest bowiem sugestywna przez formę, a bardzo mało sugestywna w treści. Obrazy sowieckie są zbyt długie i przez to nudne, propaganda jest zbyt wyraźna. Filmy sowieckie mają charakter reportażu, a nie dramatu, a reportaż interesuje jako sprawozdanie, ale nie przekonywa. Nie przeżywamy przejść bohaterów reportażu, tak, jak przeżywamy razem z bohaterami dramatu.

Filmem tendencyjnym, czerpiącym natchnienie z idei, jest film René Claira. Najjaskrawszym przykładem był obraz „Niech żyje wolność“ (A nous la liberté), będący protestem przeciwko mechanizacji i wyraźnie wiążący tę klęskę współczesności z kapitałem. Kontrast fordyzacji pracy we współczesnej fabryce i smutnej doli kapitalisty wobec beztroskiego włóczęgi, łowiącego ryby nad rzeką, był wyraźny i przekonywujący. Propaganda René Claira jest jednak skierowana całym frontem ku kapitalizmowi, a mechanizacja pracy dotknięta jest tylko mimochodem. Przecież szczęście ostateczne dają człowiekowi we wspomnianym filmie właśnie maszyny, które pracują za niego, pozwalając mu spokojnie próżnować i marzyć o niebieskich migdałach. Film zawiera groźny atak na wszelką pracę, przedstawioną jako niewola. Charakter tendencyjny Claira, spoczątku nieskrystalizowany w filmach „Pod dachami Paryża“ i „Miljon“, choć postawa wobec życia już była dość wyraźna, zaznaczył się jaskrawo w wyżej omawianym obrazie, a w ostatnim oglądanym w Polsce („14 lipca“) był może nie tak widoczny, ale niemniej mocny. Scena w dancingu wśród znudzonych bogaczy, zestawiona z beztroską zabawą ludową na ulicach była dość wiele mówiąca.

Jednakże Clair nie jest na służbie propagandy; jest on człowiekiem o zdecydowanym światopoglądzie, ale człowiekiem oddanym przedewszystkiem sztuce. Film René Claira nie jest właściwie filmem propagandowym, tylko filmem z ideą, ale ma przez swe wartości artystyczne i przez szczerość wypowiadanej treści większe znaczenie propagandowe od filmu sowieckiego.

Trzecim typem filmu, który należy tu brać pod uwagę, jest film amerykański, któryby można nazwać rynkowym. Względy handlowe decydują o treści. Ameryka i Sowiety wyciągają różne wnioski z tego samego faktu, który posłużył za punkt wyjścia niniejszym rozważeniom. Film jest sztuką dla mas; Sowiety chcą na nim zarobić ideowo, Ameryka materjalnie. Jedni twierdzą, że do kina chodzą masy, a więc idea, rzucona przez film dotrze do mas, drudzy, że im większe masy pójdą do kina, tem większa będzie korzyść, a więc trzeba rzucać takie, które będą się podobały masom.

Stąd cała ogromna skala różnych idei, wyraźnie widocznych w filmie amerykańskim, a będących przynętą, a nie haczykiem. Dla różnych ludzi muszą być zupełnie różne, czasem wręcz sprzeczne tendencje. Obok filmów dla purytańskiej prowincji, zakończonych happy end'em, propagujących wszelkie cnoty ludzkie, mamy filmy dla zblazowanych mieszkańców miast, opiewające pochwałę miłości „mocniejszej od konwencjonalnych więzów“ i innych zrewidowanych moralności; obok pacyfistycznych tragedyj „okrutnej rzezi“ w rodzaju „Kawalkady“ i „Na zachodzie bez zmian“, przeznaczonych dla tych, którzy mają sentymentalny stosunek do wojny, lub należą do licznych pacyfistycznych sekt, mamy gloryfikację floty i lotnictwa wojennego amerykańskiego dla tych, którym serce rośnie gdy patrzą na sztandar gwiazdzisty powiewający nad potężnym krążownikiem, rękojmią bezpieczeństwa i symbolem potęgi narodu („Skrzydlata flota“), a nawet apologję wojny, jako próby wartości moralnych człowieka („Dziś żyjemy“). Mamy filmy gloryfikujące pracę, jak „Tańcząca Wenus“, obok filmów, gloryfikujących bezczynność, jak „Poganin“.

Trudno wierzyć twierdzeniom, „że film amerykański jest narzędziem propagandy w rękach kapitalistów, którzy używają go dla uśpienia czujności mas pracujących“. Kapitalista z Hollywood myśli przedewszystkiem o powiększeniu swego kapitału i gotów jest nawet stworzyć film przedstawiający nikczemnego „magnata“, jeżeli tylko będzie mieć pewność, że dobrze go sprzeda. Film amerykański nie jest filmem propagandowym tak, jak sowiecki, ale ma znaczenie propagandowe. Znaczenie to jest tem większe, że filmy amerykańskie są seryjne. Jeżeli uda się np. jeden film pacyfistyczny, możemy być pewni, że w najbliższej przyszłości będzie dwadzieścia innych, podobnych. W ten sposób każda rzucona myśl musi dotrzeć do każdego, niesposób bowiem nie zobaczyć przynajmniej jednego filmu z serji; często zaś widzi się kilka i tendencja powoli przenika i to bezpośrednio do uczuć odbiorcy. Przytem propaganda amerykańska właśnie dlatego, że jest niezamierzona, a przez to niepodejrzewana, jest niebezpieczniejsza od sowieckiej. Wszystkie momenty filmu są obliczone na wywarcie wrażenia, na efekt, a przytem stoi on bardzo wysoko pod względem technicznym, a często i artystycznym. Przytem jest filmem aktorskim, a ten rodzaj jest najbardziej przekonywujący, najbardziej ułatwia nawiązanie bliskiego kontaktu z treścią i ideą; dla tych wszystkich względów film amerykański jest też najpopularniejszy, jeżeli jeszcze wziąć w rachubę jego znakomitą przewagę ilościową.

Tu też zaczyna się rola krytyki i rozsądnej cenzury, które jedynie mogą przeciwdziałać szkodliwym tendencjom. Mieliśmy już serję „pogańską“; biały człowiek i jego skorumpowana kultura niszczą sielskie życie na wyspach Pacyfiku, pozbawione wszelkich wartości, jakie nasza kultura zwykła cenić najwięcej poczucia obowiązku, instynktu społecznego, pojęcia życia, jako walki o doskonalenie się (Białe cienie, Poganin, Tabu itp.). Była serja pacyfistyczna, którą znamy dobrze. Była serja „gangsterska“ czyli bandycka o nowoczesnych Rinaldach Rinaldinich. Ale obok tego Ameryka postanowiła, że Marlena Dietrich ma przedstawiać ideał wierności małżeńskiej i czystej miłości, pełnej poświęcenia (Marckko, Blond Wenus); że Joan Crawford najlepiej się podoba w roli nowoczesnej panny, która poznaje, że zabawa nie jest wszystkiem w życiu (cała serja filmów „dancingowych“) i t. d. Zadaniem cenzury jest hamowanie szkodliwej propagandy nietylko tam, gdzie na filmie jest napisane wielkiemi literami „reklama“, ale także tam, gdzie ta reklama nie wysuwa się na plan pierwszy, a jest może skuteczniejsza jeszcze. Zadaniem krytyki, szczególnie krytyki w piśmie codziennem, czytanem przez te same szerokie warstwy, które chodzą do kina, jest neutralizowanie szkodliwych wpływów, oddziaływujących bardzo szeroko, kształtujących powoli światopogląd.

Zwracanie bacznej uwagi na wpływ kina na masy jest obecnie obowiązkiem społecznym. Rzecz to zdaje się powszechnie znana, jednakże niebardzo widać, by wyciągano z niej praktyczne wnioski.



M. Szrajberówna — Madonna